# LECH
Tygodnik Illustrowany

Nr. 3. Poznań, dnia 18 Stycznia 1879. Rok II.


## ANDRZÉJ NIEGOLEWSKI.

(Ciąg dalszy).

„Z Marrac“, pisze Niegolewski, „puściliśmy się po pierwszy raz na linią bojową do Hiszpanii. Tu w pochodzie naszym do Somo-Sierry, mieliśmy sposobność przekonania się, że nietylko z wojskiem regularném, ale z całym krajem w jeden obóz obrócony mamy do walczenia. Wszędzie po drzewach, nad drogami wiszący Hiszpanie i Francuzi świadczyli o ogólném powstaniu. Będąc razu jednego z obozu pod St. Maria z licznym oddziałem może z kilku set ludzi złożonym do furażowania odkomenderowany, udałem się na wsie poblizkie. W oddziale kilku tylko żołnierzy miało pałasze i pistolety, wszyscy drudzy byli opatrzeni tylko w postronki i worki. W niejakiém oddaleniu od obozu zastałem na polu posieczony owies: kazałem części oddziału zsieść z koni i zabierać go. W tém nadszedł Hiszpan i ganił po co taki owies zabierać, jest we wsi w ziarnie, on mi go wskaże. Nie spodziewając się podstępu, zostawiwszy jednę część żołnierzy przy zbieraniu owsa, maszerowałem z drugą za Hiszpanem. Hiszpan zaprowadził mnie do dużéj wsi, do której ledwo com się zbliżył, uderzono we dzwony i na ich odgłos i w poblizkich wsiach również dzwonić zaczęto. W skutek tego hałasu zbiegło się z wszech stron kilka set różnie ubranego i uzbrojonego ludu; obtaczano mnie ze wszystkich boków i byłem zniewolony spiesznie się cofać. Ścigany, nadszedłem nareszcie za górę, gdzie się drogi rozchodziły. Obrachowałem żołnierzy którzy broń mieli, kazałem się zatrzymać pod górą, zgraję goniącą obejść i tył jéj zabrać. Nie miałem więcéj tylko 30 w pałasze uzbrojonych, lecz żołnierze których byłem zostawił do wiązania owsa, słysząc strzały i hałas, przybiegli mi w pomoc tak, że się 50 żołnierzy z pałaszami zebrało i czém kto mógł Hiszpanów rąbał. Szczęśliwieśmy się też téj zgrai nietylko obronili, aleśmy ze 60 do niewoli zabrali i przed sobą prowadzili. Gdym prowadził Hiszpanów wystrzelił na raz do mnie z pod krzaka owczarz i uciekł, owce zostawiwszy, któreśmy, nie goniąc owczarza, zabrali i razem z Hiszpanami przed sobą pędzili. Do obozu przecież owiec nie doprowadziliśmy, gdyż jeden z kolegów moich kapitan Brocki, późniéj radzca stanu w Warszawie, ostrzegł mnie, że marszałek Bessieres będzie się o to bardzo gniewał i mogę być zdegradowany, gdyż zabierać nic nie wolno a z pewnością Hiszpanie mnie oskarzą, żem ich rabował. Koledze opowiedziałem zdarzenie jak zaszło a chcąc ujść wszelkich tłumaczeń, kazałem owce zostawić. To co kolega mój przewidział, istotnie się stało, Hiszpanie oskarzyli mnie przed marszałkiem, żem im owce zrabował. Łatwo mi było z podobnego oskarzenia się usprawiedliwić, które ile sobie przypominam z wielkim zapałem przed marszałkiem uskuteczniłem rozgniewany na Hiszpanów, że nietylko podstępem mnie chcieli zgładzić, ale nawet za me łagodne się z nimi obejście, gdyż gdybym był chciał, mógłbym ich był do jednego porąbać, jeszcze mnie o rabunek skarzyli. Rzeczywiście mimo méj wiedzy głodni żołnierze nie wszystkie owce puścili, lecz kilkanaście zabili i na drzewach pozawieszali, aby je w razie rewizyi, któréj spodziewać się mogli, ukryć. Gdy Bessiers w obozie owiec szukał, nie spodziewając się aby ich nie po ziemi ale po drzewach szukać należało, nie znalazł ani jednéj. Dowiedziawszy się późniéj o téj przebiegłości żołnierzy, nie mało się z niéj Bessiers naśmiał a myśląc, że ja jéj byłem sprężyną, kazał mnie po przeglądzie pułku w Bryviesca do siebie zawołać i powiedział do majora naszego pułku D'Autancourth „ce jeune oficier c'est un fin merle; imaginez-vous, quand je cherchais des moutons q'il avait amené danz le camp, je n'ai rien trouvé, tandis que les moutons étaient pendus sur les arbres.“

Po pierwszy raz to było, że żołnierze mego szwadronu z nieprzyjacielem się spotkali, pierwszy i drugi bowiem szwadron przed złączeniem się naszém z pułkiem, już miały udział w batalii pod Riosecco, gdzie w lipcu marszałek Bessières pobił jenerałów don Joaquin Blake i don Gregorio de la Cuesta.

Utarczka którąśmy teraz z Hiszpanami stoczyli, rzuca światło na charakter kampanii hiszpańskiéj: świadczy o zapale

Hiszpanów i o nienawiści jaką słusznie wszystkie warstwy ludności przeciw Francuzom jako ich kraju najezdnikom pałały. Służy ona za przykład wszystkim narodom, które nieszczęście spotkało dostania się pod obce jarzmo, którego zrzucenie z pewnością nie jest niepodobném, skoro naród ujarzmiony duch taki ogarnie jaki ogarnął Hiszpanów, gdzie każdy pojedyńczy mieszkaniec uważał się za żołnierza walczącego, i jak mógł z własnego popędu nieprzyjacielowi szkodził.

Po służbie naszéj pałacowéj w Marrac dostawszy się do kraju powstańczego, mieliśmy od razu z tylu przeciwnościami w pochodzie naszym do Somo-Sierry do walczenia.

Ograniczam się na przytoczonych co dopiero okolicznościach; dostateczne one światło rzucają na historyą przed somo-sierrską szwadronu naszego, świadcząc, że szwadron nasz kilka miesięcy przed tém wcale nawet duchem żołnierskim nie ogarnięty, nietylko jeszcze w ogniu nie był ale nawet zwyczajnych obrótów mustry nie umiał, jako też że miał z drugiéj strony sposobność, pełniąc służbę przy cesarzu, którego geniusz umiał z każdéj danéj pory korzystać by do siebie żołnierzy przywiązać, powziąść do niego zaufanie, że nadziei naszych nie zawiedzie i że wkrótce walcząc pod nim, ojczyznę oswobodzoną powitamy. Jego też to osoby czarodziejski wpływ przypatrując się na szarżujących pod Somo-Sierrą nie mało się przyczynił do wykonania téj pamiętnéj szarży.

Tak ten to szwadron, nie wyćwiczony w szkołach wojennych i kilka miesięcy przed tém nie umiejący nawet zwyczajnych obrotów mustry i nie znający nie dawno przed tém innych jak drewnianych skałek, wykonał teraz szarżę, któréj podobną nietylko żaden naród się poszczycić nie może, ale która palmę zwycięzką wszystkim znanym cudom waleczności odebrała, i na dowód we wszystkich szkołach wojennych przytaczaną bywa, że nie masz przeciwności któréjby dzielna kawalerya, jak polska pod Somo-Sierrą nie zdołała pokonać.

My tylko Polacy tę jak cud, prawie nie pojętą szarżę mogliśmy wykonać, my też tylko ją teraz pojąć możemy, my których miłość ojczyzny nietylko na Sierry ale i do nowego świata zapędziła, w nadziei że walcząc pod Napoleonem, uważając go za zesłańca którego nieba nam dla przywrócenia ojczyzny dały, ojczyznę z jarzma wyswobodzimy i na wrogach naszych za ich na nas dokonaną zbrodnią zemścimy się, a światu całemu, który bezkarnie na morderstwo nasze zezwolił, dowód naszéj żywotniéj siły damy. O ileż zapał nasz musiał tedy być uniesiony, kiedyśmy szarżę tę do tego pod okiem cesarza, tego mniemanego zesłańca nieba i jego orszaku, tuż przy wąwozie na nas przypatrującego się, wykonali. Każdy przejeżdżający koło niego z Polaków pojął, że tu chodzi nietylko o jego własny honor, nietylko o honor szwadronu chrzest ognia pod okiem cesarza odbierającego, nietylko o honor pułku, ale o honor ojczyzny dla wyjarzmienia któréj orzeł biały z orłem cesarskim sojusz zawarł.

Ta to miłość ojczyzny nasz naród nad inne cechująca przewodniczyła całéj szarży lotem błyskawicy, wśród ogromnego ognia z przodu kartaczowego a z obu stron i z szczytu wąwozu z ręcznéj broni ciskanego, wykonanéj. Ona była jedyną naszą komendą. W jéj to służbie każdy z nas gotów był cudów waleczności dokazywać, by czémprędzéj świadcząc cesarzowi o sile narodu polskiego, wpoić w niego uszanowanie dla orła białego, w którego imieniu Polacy po wszystkich krańcach świata swoje zwycięzkie sztandary jak tu na Somo-Sierrze zatykali. “

(Ciąg dal. nast.)

# KLARA.

## Powieść

Pauliny z L. Wilkońskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Na drugi dzień po Nowym Roku, państwo Trzebiewscy, pożegnali swój Sosnowiec — i wieczorem stanęli w P.

Służba wyjechała naprzód — więc zastali pokoje ogrzane, lampy zapalone — . wszystko na przyjęcie gotowe. Pani Klara była wielce zadowoloną, i jeszcze tegoż wieczora, zaraz po herbacie, rozłożyła za pomocą swojéj panny Agatki, przed kanapą na stole, albumy różne i książki. Ustawiła czarę piękną do biletów wizytowych, i duży flakon z jakimś wyborowem pachnidłem. Nadto i śliczny wazon do kwiatów — by w nim jaki wonny umieścić bukiet.

Nazajutrz niemal dzień cały, zajęło uporządkowanie garderoby. Klara jednakże w niczem nie przyłożyła ręki i siedziała wpółleżąc na kanapie i czytała. Agatka roztrzepywała atłasy, aksamity, koronki — a pani kiedy — niekiedy swoję zrobiła uwagę lub rozkaz jaki wydała.

Pan Lucyan zaś, nieleniwy nigdy, już pobiegł za interesami — by nie marnować czasu. O szaréj godzinie powrócił.

W salonie już paliła się lampa. Klara przechadzała się po nim.

— Klarciu! zawołał małżonek, wbiegając — kupiłem lożę: przedstawiają *Posażną Jedynaczkę i Skrzypce czarodziejskie*, zabieraj się, aniołku!

— Nie wiedziałam, że dziś będziemy w teatrze — przystanęła, gdy uśmiech po młodém przemknął licu.

— Jest dopiero po piątéj — spojrzał na zegarek — o siódméj zaczyna się przedstawienie i masz jeszcze dosyć czasu na toaletę. Wreszcie tutaj strojów nie potrzeba.

— Zawsze . . . . muszę się ubrać — odrzekła przeciągle.

— To idź-że, idź, aniołeczku. Każę nastawić samowar, bo chcę przed przedstawieniem napić się herbaty.

Klara wpięła we włosy białą różę i włożyła pąsowy kaftanik węgierski suto szamerowany złotem, srebrem i kolorami wszelkiemi, w którym jéj wielce do twarzy nie było.

Pojechali o trzy kwadranse na siódmą. Teatr już w połowie był pełen. Klara rozglądała się po nim i znalazła go wcale dobrze urządzonym. Lucyan podał jéj co tylko kupioną lornetkę — i podziękowała mu uśmiechem wdzięcznym i uściskiem ręki. Ładnie jéj z nią było w rączce, opiętéj w białą rękawiczkę.

Po chwili otworzono z trzaskiem lożę naprzeciw i weszła piękna pani, a za nią trzech kawalerów. Klara ku niéj skierowała lornetkę. Piękna pani miała okrywkę gronostajową a w czarnych włosach gwiazdę brylantową, wyglądała gdyby królowa. U ręku jéj, przy grubéj bransoletce zwieszał się wachlarz pąsowy, stalkami błyszczący. Skierowała piękną ze słoniowéj kości lornetkę po sali — a potém obróciła głowę ku kawalerom na służbie będącym i pośmiała się, bielutkie pokazując zęby.

— Któż to jest? zapytała Klara, niby troszkę zposępniała, bo jéj zaimponowała ta piękna pani.

— Nie wiem — odrzekł Lucyan — lecz dowiem się. Ten blondyn to jest książę, a ten w białym krawacie Kalikst...

— Któż on jest?

— O wiele się pytasz! uśmiechnął się Trzebiewski — znają go niby wszyscy, lecz nikt nie zna go dobrze. Wiedzą o nim, ale nikt o nim nic nie wie pewnego. Bywa w najpierwszych towarzystwach, gra umiejętnie w karty.... i szczęśliwie bardzo. Fortuny jego nikt nie zna, ale mu nigdy na niczem nie zbywa. Jeździ wiele po świecie; stałego nigdzie nie ma mieszkania — ale niby wszędzie jest wdomowionym.... Ale otóż wychodzi z loży, pójdę go zapytać — i wybiegł.

Klara sobie pochlebiała, że ten jegomość interesujący przyjdzie do ich loży. -- Lucyan jednakże sam powrócił, a pan Kalikst w téj saméj chwili już znowu ukazał się naprzeciwko.

— Jest to pani Wszemborska z Następowa -- powiadomił Lucyan żonę...

— Ta piękna pani Floryna, zawołała współcicho.

— Tak jest.

— Och, słyszałam, że zawsze cały za sobą wodzi zastęp.

Wtem zagrała uwertura. Poczem artyści wybornie odegrali *Posażną Jedynaczkę*. Klarę jednakże zajmowała więcéj loża naprzeciw, aniżeli sztuka. Boć téż tam rozmawiano ciągle, śmiano się. Pani Wszemborska pąsowym olśniewała wachlarzem. To zasłaniała się nim z jednéj, to z drugiéj strony — a panowie pochylali się ku niéj a na każde jéj skinienie baczyli. To i jakżeż pięknéj pani tego wszystkiego pozazdrościć nie było? Loża pp. Trzebiewskich pozostała pustą. Gdyby téż ten pan Kalikst do nich był zajrzał. Ale on nie odstąpiłby wcale służby przy pani Florynie. To téż Klarę aż niby unużyły i znudziły *Skrzypki zaczarowane*. Pani Floryna z dworem swoim wyszła przed skończeniem sztuki — i nawet lożę za sobą zostawili niezamkniętą.

— Czy także wyjdziemy? zapytała Klara męża, bo tak niby wypadało.

— Uchowaj!... — odszepnął pan Lucyan — takie wychodzenie jest niewzględném dla współwidzów, którym przeszkadza się, a ubliża artystom.

I po cóż wychodzić?

Pozostali więc do końca. Klara niezadowolona do domu wróciła.

— Cóż tobie? zapytał małżonek biorąc jéj rękę — myślałem, że się dobrze zabawisz.

— Owszem... ale mnie głowa trochę zabolała.

— Zawiało cię może? -- i poprawił jéj kapturka.

— To minie.

Lucyan pocałował ją w rączkę.

(Ciąg dalszy nastąpi)

# POJEDYNEK AMERYKAŃSKI.

## Humoreska.

Napisał Tadeusz Zaremba.

Pan Karol S. po świetnie zdanym egzaminie doktorskim w Lipsku, został mianowany prywatnym docentem w uniwersytecie w N.. przy wydziale medycznym.

Był to człowiek spokojny, cichy, pracowity. Nauki kochał jak mało kto swoję narzeczoną, pracował po całych dniach i nocach, czytał, pisał, warzył, gotował, rozcierał w moździerzach — słowem bardzo wiele obiecywał na przyszłość a jego przyjaciele nie wątpili, że z czasem zyska sobie zaszczytne w medycynie stanowisko. Nazywali go niektórzy dzikim człowiekiem, bo stronił od ludzi, świata i zabaw. Wiedział że człowiek na to żyje aby pracować, wiedział że skąpić należy każdéj chwili czasu i dla téj przyczyny prawie się zupełnie zamknąwszy nigdzie nie wychodził, chyba do uniwersytetu na wykład. Jedyną jego rozrywką, jedynem wytchnieniem którego sobie pozwalał było pisanie listów do znajomych, krewnych, przyjaciół, z którymi stosunków nie zrywał. Gości przyjmował uprzejmie, radośnie, ale nigdy go prawie wyciągnąć za dom nie było można.

— Szkoda czasu, — była zawsze jedna jego odpowiedź.

Gdy doszedł lat dwudziestu ośmiu, poczęli go wszyscy namawiać, aby się ożenił.

— Szkoda czasu, — pisał albo mówił Karol.

Śmiano się z niego, nazywano dziwakiem, ale kochano go po dawnemu i szanowano. Mając od dzieciństwa w siebie wpojone moralne i religijne zasady, zachował je w całéj świeżości i wedle nich swoje kroki zawsze kierował.

A medycynę tak kochał, że dla niéj by zdrowie, nawet życie poświęcił.

Pewnego dnia odebrał list od ciotki.

Pisała mu, że go bardzo kocha, szanuje i poważa; że te wszystkie uczucia natchnęły ją myślą powierzenia mu swego jedynego Henrysia, który skończył lat siedmnaście i zdał maturę. Powierzając mu swego Henrysia, ciotka prosiła Karola aby mu dał u siebie mieszkanie i nie spuszczał go z oka, bo chłopiec choć złoty i pracowity i poczciwy łatwo może się dać wciągnąć w złe towarzystwo: przepaść na wieki, a ona by tego sobie nie życzyła jako matka. Henryś w N. będzie chodził do uniwersytetu na wydział prawa, bo do tego najwięcéj okazuje zdolności, gdyż wdał się w ojca zupełnie. Daléj następowały zapewnienia przyjaźni, szacunku, wdzięczności za przysługę, któréj spełnienia oczekiwano od Karola na pewno, a wreszcie, u dołu stronicy, daleko od ostatnich słów listu mieścił się podpis „szczerze kochającéj ciotki.“

Karolowi zbytecznéj przyjemności list ten nie sprawił pomimo zawartych w nim grzeczności i pochwał. Odmówić jéj nie miał prawa — a perspektywa znoszenia w swym domu młodego studenta, którego prawie nie znał, który się mógł okazać zbytecznie wesołym, hałaśliwym, ta perspektywa mu się nie podobała. — Sumienie mu jednak głośno mówiło, że innéj rady nie ma jak napisać do ciotki i pięknie jéj podziękowawszy za tyle dowodów zaufania oznajmić jéj, że z otwartemi rękami czeka na przybycie ukochanego Henrysia.

— Żegnam was moje dnie cichéj pracy, — myślał Karol. -- Teraz już inne nastaną, Henryś, koledzy jego... Co to będzie hałasu!...

Karol zajmował mieszkanie, złożone z trzech pokoi i kuchni w którym mieszkał służący. Jeden pokój bez wielkiego poświęcenia mógł oddać Henrysiowi. Już się nawet poczynał godzić z nieprzyjemną z początku myślą, bo każdy pokój jego mieszkania miał drzwi wychodzące na korytarz, a zatem w razie potrzeby można było przerwać wewnętrzne kommunikacye. Przygotowany materac do miary drzwi zrobiony, miał w naglącym przypadku rozdzielić dwóch kuzynów i byłoby im wtedy prawie zupełnie dobrze.

Ale jedno nieszczęście samo nie przychodzi. Ciągnie za sobą i inne dla towarzystwa. Ledwo miał czas Karol na list ciotki odpisać, gdy i z innéj zupełnie strony doszedł go list dalekiego krewnego. I ten miał także syna, i ten go chciał na uniwersytet w N. wyprawić. Szanując, poważając Karola o nim zaraz pomyślał; jemu przeto syna Piotrusia powierza, prosząc aby go przyjął do swego mieszkania, gdyż Piotruś koniecznie potrzebował dozoru, choć był dobrym i pracowitym chłopcem, któryby nawet myszy złego nie chciał zrobić. Po wakacyach Piotruś przyjedzie i weźmie się do pracy. Chociaż nie zdał matury nic to nie szkodzi, bo Piotruś nadzwyczaj zdolny chłopiec, może chodzić na wykłady jako wolny słuchacz, to mu z pewnością nie przeszkodzi gdy przyjdzie pora myślenia o doktorskim egzaminie i t. d... i t. d... List kończył się ponowionemi zapewnieniami powa-

żania, ufności oraz zawierał wyrazy wdzięczności za łaskę, któréj Karol kuzynowi odmówić nie zechce. Daléj szedł podpis i data.

Karol był w rozpaczy.

— Czemże zasłużyłem na tyle dowodów zaufania, — myślał ze strachem twarz krzywiąc. — Całe życie prowadziłem się i żyłem jak porządny człowiek, a teraz takie na mnie — w nagrodę kłopoty spadają. Napiszę że już nie mam miejsca u siebie..

Ale niedługo trwał Karol w tém postanowieniu. Wrodzona, często nawet przez ludzi za śmieszną uważana prawość charakteru i skrupulatność nie pozwoliły mu mówić, że nie ma miejsca, kiedy jeszcze dwa wolne pokoje posiadał.

— Ha! Zobaczę! — myślał. — Może mi się uda Piotrusia z Henrykiem pomieścić... Ale nie!.. Obaj młodzi pewnie żywego charakteru, będą się kłócili, sprzeczali, bili.. może... Nie!.. Ja ich muszę rozdzielić — zajmię średni pokój... ha! może nam tak będzie dobrze.

Karol był z tych ludzi, którzy na świat przychodzą jako gotowe ofiary, które nawet głośniejszem westchnieniem nie śmieją przeciw losowi protestować.

Odtąd nic innego nie pozostało mu do czynienia, jak spokojnie wyczekiwać przyjazdu dwóch młodych chłopców.

Jednego dnia, w jednéj prawie godzinie przyjechali do N. z dwóch przeciwnych stron zdążając. Karol był przygotowany, mężny uzbrojony w ogromne zapasy cierpliwości. Powitał przyszłych pupillów bardzo serdecznie, zaprowadził do przeznaczonego dla nich pokoju, a gdy się przebrali i wypoczęli z podróży, z utajonem westchnieniem rzuciwszy okiem na flaszki, słoiki, mozdzierze i książki, wyprowadził dwóch kuzynów na miasto. Sumienie nakazywało mu trochę czasu im poświęcić, i pokazać wszystko co było godnem widzenia. Ale i w mieście nie mógł zapomnieć o swojéj ulubionéj nauce — tak, że Henryk i Piotruś w życiu całem nie zwiedzili tyle gabinetów, najdziwaczniejsze noszących nazwy. To poczęło ich nudzić, Karol gdyby chciał tylko, mógłby był nawet posłyszeć lekkie szemrania.



*Kościół ś. Mikołaja w Inowrocławiu.*

— Czy tu jest teatr? — zapytał Piotruś, który już dłużéj nie mógł przenieść tego zwiedzania nudnych gabinetów.

— Jest opera, — odparł Karol.

— Koniecznie do teatru pójść musimy, — zadecydował Henryś. — Przez dwa miesiące na wsi siedziałem i stęskniłem się za miastem i jego przyjemnościami.

— O! Ja także! zawołał Piotruś. — Koniecznie do teatru pójść musimy.

Karol ruszył ramionami.

— Strata czasu, — mruknął. — Zresztą róbcie jak chcecie, a ponieważ jesteście moimi gośćmi, najchętniéj wam jutrzejszy wieczór poświęcę. Rano pójdziemy do uniwersytetu, przedstawię was profesorom, zapiszecie się, a wtedy już o dalsze losy spokojni, bez troski będziecie się mogli oddać rozrywce. Trzeba jednak się dowiedzieć czy jutro grają w teatrze.

— O! Zawołał Piotruś, — który poprzednio przespacerowawszy się po mieście już umiał wszystkie porozlepiane afisze na pamięć. — Grają Fausta.

— Już wiesz o tem? Tylko co pytałeś się mnie, czy mamy teatr...

Piotruś się zawahał. Po chwili rzekł wesoło:

— Trzeba było jakoś przystąpić do kwestyi...

— Moja ciotka śpiewa kawałki z Fausta, — przerwał Henryś. — To nadzwyczaj piękna opera.

— Nie znam jéj, nie wiem... — mówił Karol. — Jutro się przekonamy o tem. Nigdy do teatru nie chodzę. A teraz, moi drodzy, pozostaje nam do zwiedzenia gabinet...

Ale mu młodzi chłopcy nie dali skończyć. Poczęli protestować tłómacząc się znużeniem.

Karol westchnął i zawrócił z nimi do domu.

* * *

Nazajutrz około południa już byli zapisanymi w uniwersytecie, Henryk jako student, a biedny Piotruś jako wolny słuchacz, co mu najmniejszéj nie sprawiało nieprzyjemności.

Niepokoje Karola dotyczące kuzynów ustały zupełnie. Byli to najlepsi chłopcy, a wesołość ich nie przechodziła granic przyzwoitości.

O to aby się sprzeczać, kłócić i bić mieli, nie było żadnéj obawy. Jak zwykle młodzi — prędko się zaprzyjaźnili. Henryk wspomniał o jakiéjś Maryni, kuzynce, którą w czasie wakacyi bardzo często widywał, a Piotruś o córce metra tańcu, która grała na skrzypcach, gdy ojciec wykładał, a skoro doszło do zwierzeń, o ścisłéj przyjaźni wątpić nie należało.

— Postawię ich razem, kiedy się tak pokochali, — pomyślał Karol. — Będzie i im i mnie lepiéj, bo zyska na tem laboratoryum. — I już najpiękniejsze plany przyszłego życia we trzech układał. — Dobrzem zrobił, żem ani ciotce, ani wujowi nie odmówił. Inaczéj — zawszebym sobie mój egoizm wymawiał. To tak zresztą przyjemnie wyrządzić przysługę.

Wieczorem wszyscy trzéj siedzieli w pierwszym rzędzie dosyć próżnego teatru, a nie mając nic do robienia — poczęli się przypatrywać wytartéj i czerwonéj kurtynie.

Po chwili muzyka grać poczęła a w końcu podniesiono zasłonę. Karol spostrzegł od razu, że scena przedstawiała pracownię uczonego. Oczami uzbrojonemi w lornetkę krytycznie rozbierał wszystkie sprzęty i przyrządy, stojące na stołach lub malowane — na malowanych półkach malowanych szaf. Ruszał ramionami dosyć pogardliwie, uśmiechał się jako znawca, wspaniałéj muzyce monologu Fausta wcale się nawet nie przysłuchując. Od dzieciństwa okazywał się zawsze nieczułym na dźwięki muzyki najbardziéj nawet wzniosłéj i wspaniałéj. Piotr i Henryk za młodzi, aby ich pierwszy akt Fausta mógł zainteresować, nudzili się i nie mając co robić oglądali się po sali, studyując wystawione dokoła w lożach i galeryach popiersia dam postrojonych.

Gdy jednak z teatru wracali, oczy im się świeciły i dość ożywioną prowadzili rozmowę, nadając sobie tony znawców. Mniéj jednak mówili o muzyce, a więcéj o dwóch śpiewaczkach, które występując w roli *Gretchen* i *Siebel'a*, bardzo żywo ich wyobraźnię zajęły. Henryk był adwokatem panny X. (Gretchen) a Piotruś z ogniem stawał w obronie Siebel'a.

Karol szedł obok nich i z niepokojem się przysłuchiwał ożywionéj rozmowie.



# RODZINA.

Dziś wielkie święto pośród rodziny
Gdzie małe dziécię jest:
Syn pierworodny i syn jedyny
Dziś wiary przyjął chrzest!

Dziadek wziął dziecię w drżące swe dłonie
A matka stoi tuż,
W oknie otwartém w słońcu świat płonie,
Mgły się rozwiały już.

Matka wpatrzyła z tkliwością oczy,
W ten skarb jedyny swój!
A ramę okna zieleń warkoczy,
Oplata bluszczów zwój.

---

— Za dużo ognia! — myślał, — za dużo ognia! Jeszcze się na dobre pokłócą. Gdyby tu jeszcze o śpiew chodziło, ale tu idzie o powierzchowność, o to która piękniejsza... Przewiduję jakieś nieszczęście!... Co tu z nimi robić!...

Młodzi studenci bardzo złowrogo na siebie patrzyli, gdy stanęli przed domem, w którym mieszkali.

— Wchodźcie, — rzekł Karol.

Jednym skokiem, jeden nie dając się uprzedzić drugiemu wpadli do pokoju.

Na stole do kolacyi zastawionym paliła się lampa. Przy niéj stało parę butelek piwa. Na wezwanie Karola, za jego przykładem usiedli kuzyni i poczęli jeść w milczeniu, od czasu do czasu mierząc siebie wzrokiem. Biedny Karol przygotowywał w myśli jakąś przemowę dla ich pojednania, ale zachowywał ją na ostateczną chwilę.

Tymczasem Piotruś nalał sobie piwa i podniósłszy szklankę w górę, zawołał donośnym głosem:

— Zdrowie pięknéj panny Z!...

— Zdrowie piękniejszéj od niéj panny X! — wykrzyknął Henryś, wychylając szklankę do dna.

— Drugiéj panny Z. nie ma na świecie! odparł Piotruś. — Karol osądzi.

— Zapewne, — rzekł Henryk. — Trudno być tak zyzowatym jak panna Z.

— Kłamstwo! — huknął Piotruś, — kłamstwo, którego akademik nie przeniesie

— Wolny słuchacz, — poprawił Henryk, pogardliwie ruszając ustami.

— Panowie! — rzekł Karol. — Wstyd doprawdy... Ale mu Piotruś nie dał skończyć.

— Powiedział... powiedział... obelga! — wołał gwałtownie, sam bardzo nie wiedząc co i jak chciał mówić.

— A mnie nazwał kłamcą! dodał Henryk, — Ja tego nie zniosę...

— Pojedynek!

Student z wolnym słuchaczem? — zapytał Henryk pogardliwie.

— Tchórz! — wrzasnął Piotruś. — Ja ciebie do pojedynku przymuszę!.. — I chciał już powstać. Ledwo go Karol powstrzymał.

— Panowie.. Dzieci, — rzekł biedny docent. — Jesteście tu u mnie, uciszcie się. Za was mi wstyd, żeście się tak obaj mogli zapoznać. Teraz przy mnie, uściskacie się i puścicie w niepamięć całe to dziecinne zajście... Rodzice

was mnie powierzyli, mam się opiekować wami, winniście mnie słuchać. Uściskajcie się!

Karol miał chwile, w których umiał być energicznym. Na nieszczęście nikt go słuchać nie chciał. Z oczów zapaśników sypały się błyskawice.

— Uściskajcie się! — powtórzył Karol surowym tonem. — Proszę was o to, rozkazuję w imieniu rodziców.

Nigdy! — szepnął Henryk.

— Nigdy! — za nim powtórzył Piotruś.

Karol się uśmiechnął.

— Zgoda przecież musi nastąpić kiedyś między wami, lepiéj zaraz niż późniéj.

— Nigdy, — rzekł Henryk.

— Pojedynek! Pojedynek! — wołał Piotruś. — Krew musi zmyć obelgę, którą na mnie cisnął ten źle wychowany...

— Cicho! Cicho! — prosił Karol. Zgoda!... Niechże będzie pojedynek. Widzę, że inaczéj być nie może. Będziecie się pojedynkowali.

— Brawo! — rzekł Henryś. — Proponuję pojedynek na....

— Na pałasze, albo pistolety, — przerwał mu Piotruś. — Wolę pistolety, bo śmierć pewniejsza. Jeden z nas zostać musi na placu. Jeżeli ja zginę, nie będę przynajmniéj słyszał, że ktoś śmie pannę Z. szkalować.

— Ja myślę, że florety... — rzekł Henryś.

— Tak!.. Florety z gałkami?... Prawda?... — spytał ironicznie Piotruś. — To najbezpieczniejsze, a widzę że pan Henryk ostróżny.

— Dosyć tego! — odparł Henryk. — Przystaję na pistolety.

(Dokończenie nastąpi.)

## PAMIĘTNIK
# Rajmunda Bronikowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Usiadłszy na schodach do góry prowadzących, gdzie się rada wojenna odbywała, dałem koniowi owsa, który też był znużony; oczekiwałem aż do wyjścia Generała z sali; *największym powodem mojéj obawy było*, aby poznać Generała gdyż pierwszy raz go widziałem wśród batalii, kiedy przybył na koniu ułańskim. Gdyż jak późniéj dowiedziałem się, przybył i on był kuryerskiemi końmi z Poznania do Warszawy z jednym adjutantem Stanisławem Chłapowskim, bratem żony swojéj, i z nim konno przybył pod Raszyn wśród batalii, gdzie go pierwszy raz miałem sposobność poznać przy czerpaniu wody ze studni dla rannych, jak to wyżéj wspomniałem. Generał Dąbrowski schodząc po skończonéj radzie wojennéj z drugimi Generałami, zapytał się Chłapowskiego o mnie, i polecił mu abym do jego kwatery razem z nim przyszedł; uradowany tą wiadomością pospieszyłem. Na zapytanie Generała czy zostawać chcę przy nim, oświadczyłem, iż z największą chęcią jestem gotów na jego rozkazy, lecz nie bywszy nigdy jeszcze wojskowym, obawiam się abym był w stanie dopełnić zadosyć rozkazom. Generał dał mi odpowiedź: „Ten obowiązek mieć będziesz, abyś dopełnił co rozkażę.“ Z chęcią na to przystałem.

Nazajutrz kazał mi być gotowym do jechania z nim; wyjechaliśmy rano konno z Warszawy pod Raszyn na plac batalii. Generał długo rekognoskował pozycyą miejsca przez perspektywę, którą ja trzymać musiałem dla wielkości na koniu. Późniéj kazał stojącym tam pułkom sformować się, które po wczorajszéj batalii w nieładzie stały; potém wróciliśmy do Warszawy.

Po zawarciu kapitulacyi Warszawy, Gen. Dąbrowski został dowódzcą kawaleryi, lecz nie mając żadnych wierzchowych koni, gdyż po swoje konie wysłał Chłapowskiego do Poznania, tudzież aby sztab cały sprowadził. Polecił więc mnie, abym się dla niego o konie wierzchowe wystarał. Udałem się więc do pułkowników jazdy jako to: do pułkownika Przebendowskiego pułku 1go jazdy; do pułkownika Łączyńskiego pułku 2go jazdy, do pułkownika Kazimierza Turny półku strzelców konnych. Od każdego z nich dostałem po jednym koniu wierzchowym i zaraportowałem o tém Gen., z czego był zadowolniony. — W tym samym dniu, kiedy konie od pułkowników przysłano, oddałem pod dozor ułanom, którzy byli na służbie. Kazał Gen. wieczorem jednego z tych koni przyprowadzić, bo miał jechać do Ciżewskiego na wieczór. Nim Gen. się wybrał, do ułana trzymającego mu konia na dziedzińcu przybył ktoś, odebrał od ułana konia, mówiąc iż go Gen. chce podać i zniknął z koniem. Gdy Gen. późniéj zażądał konia, stał tylko ułan sam i oświadczył, że konia już dla Gen. wzięto; trzeba było drugiego konia dla Gen. wyprowadzić. To zdarzenie nadzwyczaj mnie zmartwiło, był to koń od pułkownika Turny, który przepadł przez nieroztropność ułana, że wydał z ręki konia nieznajomemu. Od Gen. nie dostałem za to nagany. —

Po kapitulacyi miasta wyruszyły wszystkie pułki przez Pragę ku Radziminowi, zkąd posłany zostałem przez Gen. do Xięcia Józefa Poniatowskiego stojącego w Jabłonnie. Gdym przybył do Jabłonny spotkał mnie Gen. Fischer chcąc odemnie odebrać expedycyą, lecz skoro mu oświadczyłem, że mam rozkaz samemu tylko Xięciu wręczyć, kazał mi się wstrzymać, bo Xiąże śpi. Wkrótce przybył do mnie Antoni Potocki, adjutant Xięcia i wezwał mnie do Xięcia. Zastałem Xięcia nie ubranego przy toalecie; to spotkanie było dla mnie zadziwiające, bo mając sposobność widywania Xięcia zawsze czerstwego, zastałem osobę w podeszłym wieku bez włosów na głowie i twarz w marszczkach okazującą starca zgrzybiałego. Chciałem się już cofnąć, lecz gdy przemówił do mnie, co mu przynoszę, poznałem go po głosie, oddałem mu expedycyą, po przeczytaniu kazał mi się zatrzymać; przez krótki czas u niego pobytu, miałem sposobność dostrzedz, iż Xiążę nosił perukę, faworyty i wąsy przyprawne; to wszystko leżało na toalecie a kamerdyner z tyłu ściągał zmarszczoną skórę z twarzy i zwięzywał czarną axamitką! Po odpowiedzi Xięcia, cofnąłem się do drugiego pokoju oczekując odpowiedzi; w ciągu kwadransu kazał mnie Xiąże przywołać i oddał mi rezolucyą. Przed odjazdem kazał mi udać się do salonu gdzie był zastawiony stół i wielu znajdowało się oficerów. Zjadłszy śniadanie powróciłem do Gen. z odpowiedzią, zastałem go już w marszu; po oddaniu expedycyi, Gen. wysłał mnie z nową expedycyą do pułkownika 6go półku, Sierawskiego pod Radzimin. Tam byłem przytomnym zdobyciu tego miasteczka przez tegoż pułkownika. Wróciwszy z tamtąd Gen. wysłał mnie z Józefem Madalińskim (synem byłego Gen. z czasów konfederacyi) do Gen. Sokolnickiego, który w awangardzie bronił Austryakom przejścia przez Wisłę do miasta Góry. Już nie zastaliśmy Gen. Sokolnickiego w obozie, lecz ucierającego się z nieprzyjacielem w olszynkach pod wsią Dziecinowem.

Wśród boju oddaliśmy mu expedycyą i z tą wróciliśmy odpowiedzią, iż świadkami byliśmy, iż już był w boju i nie mógł odpisać. Gdyśmy wracali kula armatnia padła pomiędzy nami i obsypała nas obydwóch piaskiem ale żadnego nie raniła. Wróciwszy zastaliśmy Gen. wśród boju pod Karczewem gdzie oprócz zabitych, przeszło 150 Austryaków dostało się w niewolę z pułku austryackiego Generała Palkena. Po téj batalii Xiąże Poniatowski złączył się z Gen. Dąbrowskim i tam Gen. Dąbrowski został mianowany dowódzcą prawego brzegu Wisły. — W tém to właśnie miejscu Xiąże Józef Poniatowski zażądał mnie wziąść do swego sztabu, lecz Gen. Dąbrowski oświadczył Xięciu, że on mnie w boju pod Raszynem przybrał, przeto należę do jego sztabu: pochlebną było dla mnie od dwóch tak walecznych wodzów szczęścia doznać i jak z jednéj strony pragnąłem dostać się do sztabu Xięcia Józefa, tak z drugiéj strony trudno mi było odmówić pochlebnemu oświadczeniu Gen. Dąbrowskiego. Stanęło na tem, że Xiążę zezwolił na żądanie Gen. abym przy nim został, tym tylko zaszczycił mnie honorem, iż mnie podał do krzyża francuzkiego Legii honorowéj, którą to nominacyą razem z drugiemi nominacyami przez Gen. Mikołaja Bronikowskiego razem z raportem ze zwycięzkiéj batalii pod Raszynem, cesarzowi Napoleonowi do Paryża przesłał. Po potyczce z pod Karczewa, Gen. Dąbrowski rozłączył się z Xięciem Józefem, który się udał pod Zamość, a Dąbrowski do Poznania przez Toruń i Bydgoszcz zabrawszy nas kilku z sobą t. j. Xięcia Mikołaja Sapiehę, Alexandra Bnińskiego, mnie i Cedrowskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Kościół ś. Mikołaja w Inowrocławiu.

Inowrocław w ostatnich czasach zasłynął kopalniami soli. Urządzono też tu solanki, dotąd jedyne lecznicze kąpiele na całe W. Ks. Poznańskie.

Inowrocław zajmuje ważne stanowisko nietylko w historyi Wielkopolski, ale wogóle w dziejach Polski. W tym to starożytnym grodzie r. 1321 d. 10 Lutego ogłoszono klątwę papiezką na Krzyżaków, którzy wydarli Polsce niesłusznie Pomorze i polskie ziemie najeżdżali. Ale już wtedy Krzyżacy, tak jak dziś ich następcy, postawiwszy zasadę: siła przed prawem, niewiele się o wyrok i papiezką klątwę troszczyli. W każdym razie kościół ś. Mikołaja jest nietylko starożytnym kościołem, ale i pamiątką historyczną. R. 1343 odbył tu Kazimierz Wielki zjazd, aby potwierdzić ugodę z Krzyżakami, na mocy któréj odstąpiono tymże ziemię chełmińską i michałowską. Biskupi i prałaci odmówili podpisu pod ten traktat, pozbawiający Polskę dwóch pięknych dzielnic. R. 1396 bawiła w Inowrocławiu dobra Jadwiga, aby doprowadzić do skutku ugodę z Krzyżakami, ale gdy ci stawiali przeszkody, wtedy nasza piękna królowa przepowiedziała im upadek, co się też spełniło. Tak więc Inowrocław przywodzi nam na pamięć Łokietka, Kazimierza W. i Jadwigę.

Zaiste! jeżeli Kłecko i Dolsk uzyskały monografie, o ile więcéj Inowrocław zasługuje na opis. Czyż się nikt tém nie zajmie?

Obrazek kościoła ś. Mikołaja przenosi nas w starożytne czasy, kiedy Inowracław niepoślednie miał znaczenie.

## Złota Księga Szlachty Polskiéj

przez
Teodora Żychlinskiego.
Rocznik pierwszy.
**Poznań. W drukarni Jarosława Leitgebra. 1879.**

*Noblesse oblige.*

Nie było sejmu w naszéj Rzeczypospolitéj, na którymby nie nobilitowano zasłużonych sprawie publicznéj. Śmiałbym powiedzieć, że uszlachcanie zwolna Narodu stanowiło jednę z cech możnowładczéj Rzpltéj.

Ojcowie nasi, pod formą onego szlachectwa, mieli w myśli wyższe szlachectwo, — szlachectwo ducha; wierzyli w to, że przywiléj domaga się wzajem coś od człowieka, — że „szlachectwo uszlachetnia.“

Runął wprawdzie gmach państwowy, ale Naród żyje. I Naród ten powinien podjąć ową wielką myśl i postępować daléj po utorowanéj przez przodków drodze uszlachetniania się; a postępując tą drogą zleje z czasem dwa pojęcia w jedno: co Polak, to szlachcic.

Ale jak każda idea wielka napotyka na trudności, zdrożności i niegodne wyjątki w swém zastósowaniu, tak też pojmowanie szlachectwa przechodziło i przechodzić będzie różne fazy, zanim zostanie należycie zrozumianém, przeprowadzoném i zastósowaném do życia.

Polska silną była i groźną na zewnątrz, gdy pierś każdego szlachcica rzeczywistą dla wrogów była twierdzą, jak dumna swym patryotyzmem szlachta głosiła na sejmach. Z czasem atoli stało się to zdanie czczym frazesem i za taki po dziś dzień uchodzi. To też w miarę jak pojmowanie szlachectwa i obowiązków, jakie z niem się łączą, odstępowało od pierwotnego założenia, w miarę tego słabły owe twierdze szlacheckie, aż wreszcie przeistoczyły się na budoary nowoczesnych „*petits maitres*.“

Silną, powtarzam, była Polska i groźną, gdy równość szlachecka praktykować się miała w życiu, gdy szlachta jedną tworzyła rodzinę z królem-ojcem na czele; — ale w miarę jak słabły węzły patryarchalnego stosunku, jak stygły serca, jak nikło poszanowanie dla reprezentowanéj przez króla władzy, w miarę tego i z braku spójni, rozpadał się gmach Rzpltéj i runął po trzykrotném wstrząśnieniu.

Obce wpływy, obce naleciałości, wewnętrzny rozstrój, spaczone pojmowanie przywilejów i obowiązków, jakie nakłada szlachectwo, — wszystko to przyczyniało się do skarlowacenia pokoleń tego wykwitu Narodu. Z olbrzymów wyradzały się karły, z bohaterów niedołęgi, ulatywały z gniazd szlacheckich orły i szlachectwo przeistoczyło się z czasem w szlacheczczyznę butną, marnotrawną i ciemną.

Był to stan choroby, z któréj szlachta nasza leczy się zwolna.

Szlachcic nasz poczuwa się coraz więcéj do obowiązków w obec kraju i narodu, ideę zbratania z innemi warstwami społeczeństwa wprowadza najskuteczniéj w czyn, bo pracę, a nie zapominając o tem, co winien pamięci przodków i herbowéj dewizie swéj tarczy, zajmuje się dziejami pojedyńczych rodów, które składały się na historyę Narodu. W ostatnich czasach krzątał się około nowego herbarza Czarnecki; Kosiński wydał przewodnik heraldyczny; wyszły różne monografie rodzin szlacheckich, a dzisiaj witamy pierwszy Rocznik Złotéj Księgi p. Teodora Żychlińskiego, autora Kroniki Żałobnéj.

„Złota Księga Szlachty Polskiéj, zapowiada autor w Przedmowie, wychodzić będzie na wzór Almanachu Gotajskiego w poszytach rocznych, z których każdy, ozdobiony portretami trzech żyjących znakomitszych członków szlachty polskiéj, obejmować ma kilkadziesiąt nowych monografii historyczno-genealogicznych, wraz z wykazem żyjących członków podanéj rodziny i jéj obecnéj własności ziemskiéj. Rodziny, raz zamieszczone w „Księdze“, będą miały w następnych Rocznikach rubrykę otwartą, w któréj z odwołaniem się do podanéj poprzednio ich monografii, zapisywać będziemy zmiany jakieby w ciągu roku w ich łonie zaszły;“ — należałoby dodać: i zmiany w posiadłościach ziemskich, — a na to musiałby autor założyć osobną „Czarną“ rubrykę w obec tak częstego u nas przechodzenia ziemi z rąk polskich w niemieckie.

Potrąciwszy o Almanach Gotajski, sądzę, że od czasu gdy pojawili się heraldycy polscy, stanie się on zbytecznym dla naszych hrabiów, baronów i książąt. Widzieć szlachtę polską w poczcie obcych i wrogich tytulantów przykre, jeżeli nie upokarzające wywiera wrażenie. Bodaj czy nie książęta Radziwiłłowie pierwszy w tym

względzie postawili krok; za nimi poszli książęta Czartoryscy, a za tymi wielu, wielu innych. —

Na czele Przedmowy swéj zamieszcza p. Żychliński wyjątek z pisanego doń listu J. I. Kraszewskiego. Godząc się z każdém zawartém w nim słowém, tem chętniéj go tu powtarzamy:

„Cieszę się, że Złota Księga może naszą szlachtę i do trzymania się przy ziemi pobudzić i do poszanowania pamiątek rodzinnych. Lepiéj jest ludzi uszlachcać i uszlachetniać, niż im poczucie osobistéj godności odejmować. W Szwajcaryi i Hiszpanii chłopi i mieszczanie w oknach, na piecach na domach stawiają swe herby i pamiątki rodu szanują.“

Drugą dewizą jest wyjątek z Przedmowy Maurycego Dzieduszyckiego do Kroniki Domowéj Dzieduszyckich:

„Jak narody, kraje i miasta, tak i pojedyńcze rodziny mają swe dzieje, które mogą być ciekawe i pożyteczne nie tylko dla domowego kółka, ale i dla ogółu, w miarę starożytności rodu i przechowanych o nim podań, cnót i zasług jego członków i udziału, jaki miał w sprawach publicznych. Pożytek domowy dostrzeże łatwo każdy, skoro się zastanowi nad tém: jak ważną jest dokładna znajomość stopni pokrewieństwa, szczególnie w familiach rozgałęzionych i licznem obdarzonych potomstwem, gdy chodzi o sprawy małżeńskie, spadkowe i t. d., tudzież, jak wielkim jest dla młodszych pokoleń bodźcem wspomnienie chwalebnych czynów ich przodków, jak zresztą świadomość wspólnego pochodzenia i mnogich styczności utrzymuje i wymaga obopólne przywiązanie i ściśnia rodzinny krwi węzeł.... Wartość krajowa i literacka takich domowych kronik wynika ze światła, jakie rzucają wyłuszczone w nich dokładniéj lub podane nowe wiadomości i szczegóły na życie polityczne i rozwój moralny, osobliwie w kraju jak nasz, gdzie naród, we właściwém tego słowa znaczeniu, składał się niestety, podobnie jak we Węgrzech, z saméj tylko szlachty; gdzie więc niejednego zdarzenia wątek lub rozwiązanie, niemniéj umysłowych płodów powód i znaczenie, można należycie dostrzedz i ocenić tylko z domowych aktów i podań, o tyle nawet dziś ważniejszych, że archiwa publiczne znajdują się po wielkiéj części w obcych i niedostępnych rękach“.....



*Zwiastowanie N. Maryi Panny.*
Obrazek na okaz z drukującéj się Historyi ś.

Złota Księga p. Żychlińskiego zawiera mniéj lub więcéj obszerne monografie Baranowskich, Bnińskich, Borkowskich, Brezów, Chełmskich, Chłapowskich, Chomętowskich, Chrzanowskich, Cieleckich, Czackich, Czarneckich, Dąbskich, Gadomskich, Gąsiorowskich, Gordonów, Gorzeńskich, Grabowskich, Grujów, Kiełczewskich, Klepaczewskich, Kosseckich, Kraszewskich, Krzyżanowskich, Kwileckich, Łąckich, Lasockich, Łaźnińskich, Ledóchowskich, Lekszyckich, Lipskich, Mańkowskich, Męcińskich, Miączyńskich, Mielżyńskich, Mikorskich, Milowiczów, Mitarnowskich, Mleczków, Mniszków, Niegolewskich, Parczewskich, Potworowskich, Przyłuskich, Raszewskich, Rulikowskich, Sadowskich, Sczanieckich, Sierakowskich, Skirmuntów, Stablewskich, Staszewskich, Szarzyńskich, Szembeków, Szeptyckich, Szlubowskich, Szołdrskich, Taczanowskich, Tworkowskich, Tymowskich, Ulatowskich, Unrugów, Walewskich, Wiśniowskich, Zakrzewskich, Załuskich, Żardeckich i Żychlińskich.

W końcu dodanych jest sześć tablic genealogicznych Pilawitów Potockich. Z nich przekonywa nas autor, że szczep Wielkopolski, czemu wielokrotnie zaprzeczano, należy do tychże Pilawitów, pochodzi od Jakóba z Potoka, żyjącego ok. r. 1398, pieczętuje się Złotą Pilawą w polu błękitnem i kończy się w dwunastym pokoleniu na współczesnym nam p. Bolesławie Potockim.

Na czele Złotéj Księgi zamieścił autor portrety kardynała Ledóchowskiego, generała Chłapowskiego i namiestnika Galicyi Alfreda hr. Potockiego.

Autor ułożył monografie, z których składa się dzieło jego, przeważnie z dokumentów familijnych, aktów grodzkich i ziemskich, uwzględniając wszelako źródła drukiem ogłoszone.

Główną jego zasługą jest zaznajomienie szerszéj publiczności z nieznanemi dotąd dokumentami. Dokumenta takie kryją się po dziś dzień jeszcze po dworach i domach, narażone są na konfiskaty rządów opiekuńczych, które skwapliwie niszczą lub przywłaszczają sobie wszelkiego rodzaju ślady, świadczące o naszéj przeszłości. Ta więc jest dobra strona Złotéj Księgi.

Że wreszcie tego rodzaju prace heraldyczno-genealogiczne rzadko kiedy się pojawiają bez błędów, usterek i niedokładności, wzywa przeto autor, ażeby mu nadsyłać możliwe sprostowania i uzupełnienia do następującego Rocznika.

Uwagi nasze nad pojedyńczemi monografiami podamy w jednym z przyszłych numerów Lecha.

*E. Callier.*

## SPROSTOWANIE.

W wierszu: *„Na wieży Strasburgskiéj“* (w 2 nr. Lecha) zaszedł błąd w trzecim rządku trzeciéj strofy. Czytamy tam:

„Wskazywać chciała — niebiosy!“

a ma być:

„Wskazywać chciała — *krzyżem* — niebiosy!“

Wyraz „krzyżem“ jest opuszczony, co się uprasza sprostować.



Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.